Ner 48. Kraków, 2go Grudnia. 1862.

ROK III.

# NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Rocznie . . | 6 zł. | — | c. w. a. |
| Półrocznie . | 3 „ | — | |
| Kwartalnie . | 1 „ | 50 | „ „ „ |
| Miesięcznie . | — „ | 50 | „ „ „ |

Z Modami paryskiemi:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Rocznie . . | 10 zł. | 20 | c. w. a. |
| Półrocznie . | 5 „ | 10 | „ „ „ |
| Kwartalnie . | 2 „ | 55 | „ „ „ |
| Miesięcznie . | — „ | 85 | „ „ „ |

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Rocznie . . | 7 zł. | 20 | c. w. a. |
| Półrocznie . | 3 „ | 60 | „ „ „ |
| Kwartalnie . | 1 „ | 80 | „ „ „ |

Z Modami paryskiemi:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Rocznie . . | 11 zł. | 40 | c. w. a |
| Półrocznie . | 5 „ | 70 | „ „ „ |
| Kwartalnie . | 2 „ | 85 | „ „ „ |

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. —Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

## O WYCHOWANIU,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Zobacz r. 1861 Nr. 1, 2, 4, 7, 15, 21, 22 i 42; rok 1862 Nr 4, 13, 17, 24, 26 i 28).

Widzimy bardzo często, *niemal* zawsze, że gdy panienka na prośbę gości, ma im zagrać na fortepianie, wybiera wielkie koncertowe utwory Thalberga, Kątskiego i t. d. Wielkie te kompozycye, potrzebujące ogromnej wprawy (niemówiąc już o zrozumieniu i pojęciu sztuki) bywają zwykle prawie jak najnędzniej wykonane. Panienka opuszcza trudności, kaleczy bezmiłosiernie całość — i arcydzieło na karykaturę przetworzy. Nieznawcy nudzą się, nie słuchają, myślą o czem innem — a potem huczne *bravo!* przyklasną. Znający się choć trochę na muzyce, radziby sobie uszy pozatykali, pośmieją się pewnie z takiego muzycznego kalectwa — i poza oczami przyganią. Otwartsi dadzą swoje niezadowolenie poznać, nawet i zaraz. A cóż dopiero rzeczywiści powiedzą znawcy!

Nie wchodzę w to, czyli nauczyciele mają słuszność, jeżeli męczą uczniów swoich kompozycyami, przedstawiającemi aż nadto wielkie trudności, a dla nich niemal niewykonalne, to wszelako niechaj za dobrą posłuży radę: ażeby odstukaniem i mazaniem dzieł koncertowych nie popisywali się uczący. Cóż z tego, jeżeli panienka powie: Gram *Le reveil du lion* Kątskiego, albo *karnawał wenecki Schulhofa*, jeżeli wykonaniem nędznem *melomanów* do rozpaczy przywieść gotowa?

Czyliż nie lepiej, że zagra coś łatwiejszego, nierównie melodyjnego, dźwięcznie przypadającego do ucha? Że to odda z uczuciem, z pojęciem rzeczy; że wykona starannie, bez opuszczenia nót i nótek, bez mazania trudności? — Choćby utwór był łatwy zupełnie, ale wykonany bez przygany, obudzi myśl pewnie: że panienka i o wiele trudniejsze utwory dobrze odegrać potrafi. Gdy tymczasem źle odstukana wielka sztuka nastręczy przekonanie: że i drobnych rzeczy *akuratnie* nie odda.

Tak samo bywa i ze śpiewem. Młode panienki bez znajomości szkoły, bez wyrobienia dostatecznego głosu, rzucają się do odśpiewania wielkich brawurowych aryj. Siłą piersi, połykają tony, fałszują bez litości, i rażą każde ucho bez wyjątku. Bo na takim śpiewie pozna się i służąca i wyrzecze: „O, jak ona też to *niedocięga!*“ — Przeciwnie zaś, piosenka łatwa, dźwięczna, odśpiewana piersią wolną, z uczuciem, swobodnie, bez *pretensyi*, pewno zadowoli wszystkich.

## Wychowanie Rodzinne.

List X, Wojciecha z Medyki.

(Zobacz Nr 42, 43 i 47).

Rodziny wywierają ogromny wpływ na wychowanie dziatwy! dzieci biorą z rodzinnego gniazda prawie cały posag moralny i materyalny, t. j. córki i syny oprócz posagów i spłaty części owej biorą od rodzin posag serca i duszy, i zarysy przyszłego charakteru swego, ba nawet przyszłego żywota ziemskiego i pozagrobowego! Ten wpływ pierwszy jest takiej wagi i doniosłości, że w braku jego nie byłoby w rodzinach ani tradycyi ani wspomnień przeszłości, ani dziejów ojczystych, ani miłości dla poprzedników, ani miłości ojczyzny, ani narodów, ani pojęcia ludzkości. Rozrzućmy rodziny i rozbijmy je na oddzielne i niezależne cząstki, a będziemy mieli z narodu coś takiego, na co nie ma w żadnym języku nazwy, może coś podobnego do owego chaosu przed stworzeniem i uporządkowaniem tego widomego świata. Ludzie bez rodzin, tobym powiedział, że są podobni do piasku pustyni jakiej, gdzie każde ziarno jest sobie dla siebie, ale niczem niespojone całością i każdy powiew wiatru może go przenosić z miejsca na miejsce, może zeń wyrabiać raz góry, raz doliny, a może go też zapędzić na głębiny morza i tam utopić bez wieści. A jak na takiej piaszczystej pustyni nie było, nie ma nawet roślinnego życia, jeno pozostanie martwota, tak też ludzie bez rodzin byliby jakąś rozsypaną dziczą podobni do zwierząt, które wyszedłszy z gniazda, zapominają o niem, nieznają macierzy, a choć wyszły z jednego gniazda, to się rozsypują po norach i kniejach, a macierz swą pożerają. Najnieszczęśliwsze byłoby to dziecię, które straciwszy ojca, matkę i krewnych, byłoby jeszcze z pośród narodu wydarte i między obce ludy przesiedlone, nie ma też tak nieszczęśliwego między nami, aby zostawszy sierotą, nie miał nic wspólnego z narodem swoim: oto wiąże go obyczaj, tradycya, moralność i jedna ziemia z każdym rodakiem. Gdzie jest rodzinne życie, tam się nikt nie uczuje samotnym i opuszczonym, choćby wszystko stracił. Wpływ rodziny na nas jest tak wielki, że wszczepione uczucia święte w latach młodocianych w nasze serce, że pierwsze nauki tak się jednoczą z naszą istotą całą, iż zostaniemy wszędzie i zawsze tem, czem nas urobiła rodzina. Nieszczęśliwy Polak pozostanie nim tak w Algierze jak na wielkich Antyllach, jak i gdziekolwiek, choćby i pod ziemią zakopany — możecie mu zabrać majątek, ziemię ojców, możecie go zrobić niemym i głuchym, ale

pokąd serce w nim bije uczuciem rodzinnem, pokąd myśl leci pod strzechę rodzinną na skrzydłach przypomnienia i żywej pamięci, tak długo nie będzie ona niczem innem, jeno kopią rodziny swej, jeno odłamkiem swego narodu—i te uczucia zabierze do grobu i z tem wspomnieniem zawrze powieki.

Jeżeli rodziny potrafią z obcych ludzi urobić ludzi na swoje, tak że obcy ludzie w drugiem lub trzeciem pokoleniu naturalizują się zupełnie, t. j. przerabiają swoje rodzinne uczucia i myśli na uczucia i myśli tych, między którymi żyją długie lata, to cóż rodziny nie podołają zrobić z tych, którzy są kość z kości i krew z jednej krwi? Trudno wymagać, aby wszystkie rodziny były wzorami w narodach, aby wszystkie jednako stały moralnie wysoko, ale gdzie przynajmniej połowa rodzin jest w poczuciu swego życia i bytu, tam nie może być przyszłość niepewną, wątpliwą. Z tego też względu wszystkie niewiasty polskie, jako filary rodzin powinny strzedz czystości i zacności życia swych rodzin — powinny jako panienki polskie wyrabiać się na tle czystego rodzinnego życia, które ich wiąże i łączy z życiem ojców i z całą ojczyzną, a wszystko obce, co tylko nie stósowne z życiem rodzinnem, powinny odrzucać, jako matki i żony powinny na nowem gniaździe utrzymywać i pielęgnować, jakby jakiej świętości relikwie, całą treść swej narodowości z językiem, obyczajami i cnotami, i wiarą i pobożnością ojców, powinny wpływać na mężów, krewnych i na dziatwę, ale sposobami rodzinnemi, poojczystemi, a co obce wyrzucić z domu jako graty niepotrzebne. Oprócz rodziny ich, są jeszcze miliony rodzin po miasteczkach i wioskach rozrzucone, a do tych rodzin należą mieszczanie i rolnicy. I te rodziny wyszły niegdyś z jednego gniazda kmiecego — to kmiece gniazdo jest wszystkich nas bogatych i ubogich, uczonych i prostaczków, obywatelów i sług, słowem, wszystkich tej ziemi synów kolebką, krynicą i pierwszem ogniwem całej naszej narodowości i wielkości — o panie dobre! nie pogardzajcie tem gniazdem, ale oczyśćcie jego pleśń, wyścielcie go waszą zasługą, waszym zarobkiem, upiększcie go waszemi cnotami, podejmcie to kmiece i rolnicze gniazdo z błota i brudu, a obmyjcie je waszemi czystemi rączkami, oświećcie je promieniami waszego anielskiego serca i światłem waszego rozumu; podnieście te miliony rodzin choć do połowy tej wysokości, na której wasze rodziny już od wieków stanęły i stoją, a dożyjecie takiej rozkoszy, jaką doświadczacie na widok gwiaździstego nieba, bo oto i ta ojczyzna wasza będzie miała tyle rodzin zacnych, ile tych gwiazdek na niebie, a wy po śmierci doczesnej będziecie miały oprócz waszych dzieci jeszcze miliony waszych kmiecych dzieci naśladowcami waszych cnót rodzinnych i wielbicielami waszych serc zacnych.

*(C. d. n.)*

---

## JOANNA ARK,

czyli

## DZIEWICA ORLEAŃSKA.

(Ciąg dalszy).

Trzeciego dnia, t. j. 29go kwietnia 1429 ujżrała dziewica po pierwszy raz z wysokiego pagórka upragniony wielką starożytnością poważny Orlean nad zielonym brzegiem Loary. Zobaczywszy się zamiast prawym po lewym brzegu rzeki, gniewem się zapaliła. Czyniła mianowicie wyrzuty hr. Dunois z powodu, że z drugiej strony łatwiejszy był przewóz wszystkiego do miasta. Na Boga, mówiła, rada Boża pewniejszą jest od waszej. Chcieliście mnie okłamać, aleście bardziej okłamali siebie, boć przynoszę wam najlepszą pomoc z niebios, która od samego Boga pochodzi, który za wstawieniem się wielkiego Ludwika i św. Karola zmiłował się nad Orleanem, i nie dopuści ażeby wróg miał naraz w swojej mocy i księcia Orleanu i jego miasto.

Po nowej naradzie postanowiono uskutecznić przewóz zapasów, skoro pomyślny wiatr nastanie koło wsi Checy. Zniecierpliwiona oczekiwaniem upewniała, że wiatr się bez zwłoki obróci, i zaprawdę obrócił się, bo Pasquerel twierdzi, że nawet wody przybyło, o ile trzeba było, ażeby okręty do miasta i z miasta zdążać mogli.

Dunois i waleczny rodeński kawaler Mikołaj de Gires kierowali przeprawą, a hrabia prosił Joannę, do której nader wielkie powziął zaufanie, ażeby z nim wraz udała się do miasta, gdzie jej wszyscy niecierpliwie wyglądali. Ponieważ nie obchodziło się bez różnych nieporozumień, a wielu chciało powracać do Blois, skłoniła się do prośby hrabiego. Zostawiwszy swego spowiednika przy wojsku, wstąpiła wraz z hrabią do jego okrętu z chorągwią w ręku; towarzyszyli jej marszałek St. Sevére, kawaler de Aulon, jej paź Ludwik de Contes, la Hire i inni. — Tylko dwiestu lancynierów umieszczonych w osobnych czółnach, stanowiło jej zasłonę. Wieczorem około siódmej wstąpiła na ląd i udała się konno w towarzystwie kilku rotmistrzów ku zachodniej bramie Orleanu. Anglicy osłupieli tak, że nawet niepróbowali pochodowi jej przeszkadzać. O 8mej wieczór stanęła u bramy. Wspaniale wyglądała jej postać na białym bachmacie, na jakim wówczas widywano tylko książęce i bardzo znakomite osoby. Jasna jej zbroja połyskiwała przy świetle pochodni oświecających ulicę. W lewej ręce dzierżyła biały sztandar, który wyobrażał Zbawiciela; w prawej lilią. Z pięknego i łagodnego jej oblicza jaśniało natchnienie najczystszej pobożności, więc mieszkańcy widząc ją wraz z nowym zastępem i bogatemi zapasami, witali ją głosami uwielbienia największego dziwnemu oddawszy się rozmarzeniu. Toż samo czyniła załoga. Po lewej jej ręce jechał hr. Dunois bohatyrski Orleańczyk w bogatej zbroi. Za nią dążyło wielu znamienitych rycerzy. Co raz większy tłum ludu kupił się koło nich oddając się niewymownej radości. Mężczyźni i kobiety szli z pochodniami obwołując ją zbawczynią. Ktokolwiek mógł się dotknąć jej szat, a przynajmniej konia, miał się już za szczęśliwego. Wielu całowało jej ręce, nawet nogi, czego jednakże skromnie wzbraniała. W ciżbie ktoś zanadto zbliżył się z pochodnią do jej sztandaru, którego końca uchwycił się płomień; Joanna odważnie odwróciła konia i ugasiła płomień.

Myśl swoję naprzód zwróciła do Pana Zastępów, i zażądała, aby ją zaprowadzono do głównej świątyni. Tłum towarzyszył jej w podziwieniu i cichej czci. Uklękłszy pokornie modliła się gorąco, po modlitwie upominała przytomnych, aby mieli ufność w Bogu, bo ta zdziała, że już wróg do nich żadnej mieć mocy nie będzie.

Z kościoła odprowadzono ją do domu królewskiego, podskarbiego Boucher, niedaleko od bramy Regnart, tam miała mieszkać pod opieką poważanej podskarbini. Zastawiano dla niej sutą wieczerzę, lecz ona tylko cokolwiek wina i chleba pożyła. Wnet udała się do swego pokoju dla spoczynku w towarzystwie podskarbiego córki.

Nazajutrz chciała dziewica natychmiast prowadzić wojsko do szturmu przeciw Anglikom; lecz jej zdanie nie przeparło na radzie wojennej. Poprzestała więc na powtórzeniu pisania, jakie już kazała uczynić 26 marca 1429 do Anglików, w którym ich upominała do odejścia. Anglicy powitali pismo i heroldów z pogardą, jednego zatrzymali a przez drugiego wskazali: że zatrzymanego wraz z Joanną spalą, skoro ją pochwycą. Dziewica przecież odważyła się aż pod same okopy nieprzyjacielskie, i osobiście napomniała Anglików do odejścia. — Gdy rotmistrz Glacidas ośmielił się poczęstować ją podłem słowem, w uniesieniu mu rzekła:

— Kłamiesz! a wy odejść musicie, ale ty nie odejdziesz i wielu twoich towarzyszy nieodejdzie, bowiem Pan Bóg policzył dni wasze.

Cała jej postać niezwykłe uczyniła na Anglikach wrażenie, pomimo ich zuchwalstwa.

Odwaga Francuzów wzrastała z każdą chwilą, wszyscy mieli w niej zaufanie jak w świętej jakiej, podczas gdy nieprzyjaciele poczytywali ją za czarnoksiężnicę i wpadali w otrętwienie. Nielubiła dziewica bez koniecznej potrzeby pokazywać się publicznie, i najmilej było jej trwać na cichej modlitwie w kościele, lub bawić pośród zacnych niewiast. Wielu, a między innymi dzielnego Gaskończyka la Hira nawróciła do pobożności, aby go oduczyć od przekleństw kazała mu się zaklinać na jego kij, w czem też poszedł za nią moralną jej przemocą.

Tymczasem hrabiemu Dunois, który główną siłę na odsiecz Orleanu miał przywieść, ciasno było bardzo w Blois. Po niejakich naradach udało się wojsko pod Blois na prawy brzeg Loary, i przedzierało się przez dwa nieprzyjacielskie poczty. Skoro strażnicy z wież dali znać o nadciąganiu posiłków, pospieszyła naprzeciwko nich Joanna z la Hirem, Vilarsem na czele pięciuset jazdy. Lecz zdało się, że tej asekuracyi nie potrzeba było, boć Anglicy w osłupieniu pozwolili przejść nieprzyjacielskim szeregom pośród siebie, nie czyniąc im najmniejszego wstrętu. Jak zakamieniali patrzyli tylko ze swoich okopów na bardzo im dziwne szeregi, na których czele duchowieństwo z Blois uroczyście w ornatach powstępowało. Przed wszystkiemi postępował kapelan dziewicy, wznosząc wysoko biały swój sztandar i śpiewając psalm. Joanna powtórnie wraz z posiłkowemi wojskami szczęśliwie przybyła do miasta i witał ją lud niewymownem uwielbieniem, — które się zmieniło w zachwycenie że po pięciu dniach już nikt nie zobaczył Anglika koło Orleanu.

Wnet dowiedziała się dziewica, że rotmistrz Fastolff miał Anglikom nowe posiłki sprowadzić. Postanowiła je odciąć, i powiedziała Orleańczykowi: że jeżeli jej jej natychmiast o zbliżaniu się Fastolffa nieda znać, każe mu zdjąć głowę. Zuchwały Dunois obiecał być posłusznym. Za chwilę udała się z podskarbianką do spoczynku dla pokrzepienia sił. Lecz zerwała się nagle niebawem i żądała zbroję: jam tutaj bezczynna a tam francuska krew płynie, zawołała, moje głosy zawiadomiły mię o tem. Cicho było wszędzie, a przecież Aulon na stanowczy jej rozkaz zaczął ją uzbrajać. W tem usłyszano głośną skargę na ulicy, że za bramami Anglicy rozsiekali oddział Francuzów. Dziewica tak nagle dopadła konia, że nawet wziąść sztandar zapomniała. Ale, aby ani chwileczkę nie stracić, kazała sobie go podać paziowi przez okno i pospieszyła ku burgundzkiej bramie, jak gdyby jej kto drogę wskazywał. Aulon i piętnastoletni paź Ludwik de Contes, dopędzili ją dopiero przy bramie, gdzie jej bieg zatamowali uciekający. Kilku rotmistrzów w zapamiętałej odwadze poprowadzili byli oddział przeciw okopowi St. Loup i zostali po mężnej walce odparci. Zobaczywszy wielu rannych, z bólem zawołała dziewica: jakże niemiałyby mi powstawać włosy na głowie, gdy widzę lejącą się krew Francuzów. Potemu zwróciła uciekających na nieprzyjaciela i poprowadziła ich pędząc na koniu, sztandarem po nad głową wywijając. Aulon i Dunois nadbiegli z świeżą siłą. Bastyon St. Loup wnet zdobyto. Kilkuset Anglików zostało na pobojowisku, przeszło czterdziestu ujęto. Bohatyrka rozkazała zburzyć okop i odprawić dziękczynne nabożeństwo za spieszne zwycięztwo.

Nazajutrz kazała jeszcze kilka upomnień napisać i obwinięte około strzał rzucić do obozu angielskiego. Pisała wyraźnie, że to trzecie i ostatnie już napomnienie, że herolda nieposyła żadnego, bo już jednego przeciw prawu narodów zatrzymano. Na ostatek odesłali jej Anglicy herolda Guyenne, ale znów kazali pogrozić spaleniem, jeżeli do domu do swojej trzody nie powróci.

Szóstego maja 1429 kazał Glacidas bastion St. Jean le Blanc spalić nim jeszcze Francuzi do niego szturm przypuścili, i cofnął się w braku odwagi. Wodzowie chcieli powrócić do Orleanu, lecz dziewica w uniesieniu nastawała aby iść naprzód za umykającym nieprzyjacielem i szturm przypuścić do augustyańskiego bastyonu. Dał się słyszyć rażący krzyk, że Anglicy przybliżają się z wielką przemocą od strony St. Privé. Wszyscy zaczęli natychmiast umykać.

Wszystko się tłoczyło ku Loarze, a nawet Joannę tłum porwał z sobą aż na wyspę. Anglicy podnieśli głos tryumfu, to jej krajało serce. Bez namysłu skoczyła nagle z mostu łyżwowego, niemogąc się przecisnąć do czółna, kazała się wieść naprzód trzymając po przy czółnie płynącego konia. La Hire pospieszył w ten sam sposób za nią. Dostawszy się szczęśliwie na drugi brzeg podosiadali koni. W imie Boże żywo na nieprzyjaciela! zawołała i rzuciła się na Anglików, jej odwaga rozpłomieniła wielu innych. Nieprzyjaciel został odpartym. Zawsze była na czele, chociaż zraniona w piętę; obok niej walczyli z wielkiem odznaczeniem się, szczególniej Hiszpan Alfons de Pardada i Aulon. Koło wieczora szaniec był wzięty. Już późno, gdy pogoń niemożliwą była, wróciła z paziem do miasta. Gdy jej z rady wojennej dano wiedzieć, że ponieważ miasto zaopatrzone zapasami, postanowiono nie robić żadnych wycieczek, rzekła z oburzeniem i w natchnieniu: za nic rada ludzka, boska rada się utrzyma. Kapelanowi poleciła, aby wstał skoro świt, był nieopodal niej i zebrał wszystkie swoje siły, boć ją nazajutrz czeka więcej pracy aniżeli kiedy, powiedziała mu też, że będzie ranną, i wskazała miejsce, na którem poczeka. Udawszy się do spoczynku miała sen niespokojny. Duch jej troszczył się oddziałami wojsk, które mogły być napadnięte i był z niemi. Nazajutrz zachęcała aby uderzyć na wroga. Potrafiła też zagrzać wszystkich do uderzenia na szańce. Podskarbi, w którego domu mieszkała, troszcząc się o nią niechciał ją puścić. Pod pozorem że jest jeszcze naczczo, żądał, aby została aż się przyrządzi ryba, którą właśnie kupił, ale Joanna odrzekła: dziękuję wam, zachowajcie rybę do wieczora, wtedy wracając zwycięzko przyprowadzę wam jednego godona (goddam Anglika).

Wsiadła na koń, mnogie oddziały zbrojnych szły za nią w natchnieniu. Bez przeszkody przeprawiono się przez Loarę, Joanna była zawsze na czele. Pierwsze promienie wschodzącego słońca prześlicznie zaczęły oświecać rozkoszną niwę. Widząc to Joanna radośnie wzruszona wyskoczyła ze swego czółna, mając sobie ten piękny blask słońca za szczęśliwą przepowiednię. O 10ej godzinie przed południem zagrały trąby wojenne. Szańce były bardzo utwierdzone i najlepszem woj-

skiem angielskiem obsadzone, ale szeregi francuskie jak powódź gwałtowna natarły na nie. Z obu stron rozlegał się okropny grzmot armat, mężny Dunois walczył z osobliwą żywością. Około 2ej po południu Francuzi już upadali na siłach; chcieli wracać, ale dziewica była niezmordowaną. Nieustraszona i w ciągłem zachwyceniu napominała do ufności w Boga, który niezawodnie użyczy zwycięztwa. A przecież na ostatek cofnęły się jej zmordowane szeregi. Dziewica odważając się na wszystko, skacze do przekopu, chwyta za drabinę i przystawia do szańców. W tej chwili rani ją strzała między szyją a ramieniem. W omdlenie wpada, już Anglicy chcieli ją porwać. Niebezpieczeństwo daje jej nową siłę. Z wytężeniem broni się, mieczem odpędza grożących nieprzyjaciół, aż Jan de Gamaches, dawniej jej największy przeciwnik, pospieszył jej z pomocą. Chociaż niechciała przekopu opuścić, zaniesiono chwiejącą się w omdlałości na bezpieczne miejsce i zdjęto z niej zbroję. Strzała przeszła na wskróś przez piękną białą szyję, tak, że kilka cali z drugiej strony sterczała. Ból i żal wycisnął jej naprzód łzy, ale wnet zebrała siły i własną ręką wyciągła strzałę.

Krew puściła się strumieniem i niemożna jej było z początku zatamować, zaczem wielu przytomnych zaczęło się trwożyć. Lecz ona rzekła do nich spokojnie: Nie trwożcie się, to nie krew lecz sława płynie z tej rany. Niepozwoliła zamawiać rany, boć to miała za rzecz grzeszną, ale pozwoliła ją zawinąć, i powiedziała, że da Bóg, wnet wyzdrowieje. Wypadek ten, choć przez nią przepowiedziany, jednak odebrał odwagę wojsku, i chociaż usiłowała znów w nim obudzić męztwo, wodzowie jednak postanowili odwrót; już do niego zatrąbiono, wtedy ona zaklinała hrabiego Dunois, aby chwilę tylko zaczekał. Na Boga, mówiła do niego i innych wodzów, nierozpaczajcie. Skoro zobaczycie, że sztandar mój wznosi się w kierunku do bastyonu, idźcie śmiało za nim, a bastyon wasz. Przeto posilcie się teraz jadłem i napojem, a potem naprzód z panem Bogiem.

Stało się wedle jej życzenia. Powierzyła sztandar jednemu wojownikowi, i ożywiona dosiadła konia; o ranach i bólu zapomniała. Podczas gdy ona w cichości koło bliskiej winnicy gorąco Boga błagała o siłę i zwycięztwo, ów wojownik ze sztandarem pospieszył ku nieprzyjacielskiemu szańcowi. Nakazała pewnemu rycerzowi dobrze się przekonać, czyli koniec sztandaru pochylił się ku wałowi. A gdy on potwierdził że tak jest, zawołała proroczo: naprzód, żwawo nacierajcie na szaniec, wszystko wasze, naprzód z Bogiem. A tak zagrzewając szeregi do nowego szturmu, wiatrem leciała na parskającym rumaku, jak gdyby nigdy ranioną nie była. Nagły powrót dziewicy, którą już za poległą miano, w tym samym stopniu dodał odwagi Francuzom, w którym odjął Anglikom. Nowe posiłki, a nawet uzbrojone mieszczaństwo w zapale przybyło z miasta. Mikołaj de Giresme komtur rycerskiego zakonu św. Jana Jerozolimskiego w jaśniejącym na głowie hełmie z wielką tarczą o białym krzyżu na lewem ramieniu, podniesionym w prawicy mieczem odwagą swoją zapalił wiele set wojowników. Anglicy, chociaż najmężniej walczyli, stracili teraz wszelkie zaufanie w swoje siły. Już teraz widzieli, że nie z ludźmi mają do walczenia, widzieli nawet w powietrzu młodzieńców osobliwej piękności i nadludzkiej postaci, patronów Orleanu św. Anyana i Ewerta, ba nawet archanioła Michała. Na południowej stronie zdobytej warowni wznosząc w górę swój sztandar, wołała w wielkiem natchnieniu: Glacydas, Glacydas poddaj się Panu niebios, nazwałeś mnie ladajaką kobietą, a jednak mi żal że duszę zagubisz. W wściekłości chciał Glacydas ze swojemi przez most szańcu do wieżyczki się dostać, ale bomba wysadziła ją w powietrze, i z okropnym krzykiem przerażenia cały oddział zatopił się w falach. Okropny widok poruszył dziewicę do łez. Wspaniałomyślna dziewica kazała ciało Glacydasa odszukać i oddać nieprzyjacielowi. Także bastyon koło małych strażniczych wież wnet się musiał poddać. Prawie cała załoga zginęła lub od miecza lub w falach rzeki. Utrzymują, że onego dnia około 7000 Anglików zginęło. Ani Suffolk ani Talbot nieśmieli dać pomocy rodakom w ucisku będącym. Pomiędzy strażnicemi wieżami i bastyonem zrobiono most z tarcic i belków, przez który Joanna po wypełnieniu swego proroctwa wieczorem wracała do miasta. Z uszanowaniem jechał obok niej hr. Dunois. Z niewypowiedzianą radością przyjęto ją, wysławiając, lecz ona żadnych dzięków niepozwalała sobie czynić, ale rozkazała, aby we wszystkie uderzono dzwony, zwołano lud do kościołów i Panu zastępów złożono dzięki. Dopiero po mszy udała się do swego mieszkania, aby ranę na nowo opatrzyć, co gdy jej uczyniono, zjadła trochę bułki maczając ją w winie z wodą. Gdy ją Aulon żartując prosił aby uczyniła by i on słyszał jej świętych głosy, i widział ich, odrzekła mu poważnie: jeszczeście tego nie godni.

(C. d. n.)

---

# Poezye

## Adama Bełcikowskiego.

### DO DOKTORA M.

Tak nie wiele na świecie serc zacnych ludzi,
Że kto ich znaleść pragnie, dobrze się natrudzi;
Doktorze! przed twą cnotą dziś uderzam czołem,
I powiadam ci szczerze: nie, żeś jest aniołem,
Żeś bóstwem opiekuńczem, jak może przed wiekiem
Ozwałby się rym jaki, ale żeś człowiekiem,
Człowiekiem sercem, duszą, prawością i pracą,
Innych szczypty nauki tuczą i bogacą,
Oni z małym mozołem, z wielką bezczelnością
Zbierają grosz w kaletę, chlubią się ludzkością.
Ty inną idziesz drogą; cichy i nieznany
Rozsiewasz skarb nauki krwawym potem zlany,
Dla dobra swych współbraci, co niscy i mali
Dotychczas ledwie ździebłem są na świata szali;
Na każde zawołanie, nie bacząc nagrody
Bieżysz nieść ulgę, pomoc, Eskulapie młody!
I najczęściej, o zawsze nawet dotąd prawie
Nie służysz honoraryom lecz poczciwej sprawie.
Dlatego też twój domek tak niski i mały,
Ledwie na kilku drągach dźwiga dach spruchniały;
Dlatego nie masz nawet poczciwej zagrody
Dla swojego dziecięcia i swej żony młodej;
Dlatego w pustej wiosce, daleko od świata
Bez pożytku dla siebie trawisz młode lata.
I twych przyjaciół także nie wielka gromada,
I częściej, niźli ludzie, wiatr do ciebie gada,

Co rozpuściwszy wodze na podolskim stepie,
Głucho po twojej strzesze starym gontem klepie.

O dozwól mi doktorze! czego sobie życzę
Tak mocno: niech i ja się między druhów wliczę,
Którzy z tobą na jednej siedząc ławie społem,
Świat rzeczywisty młodem rozbijali czołem,
I święte paląc ognie w piersi młodocianej,
Wyzywali do boju świata huragany,
I nie wiedzieli silni pracą i nadzieją,
Że się kiedyś z nich losy tak grubo rozśmieją.
O, i tyś pono o tem nigdy nie zamarzył,
Żeby cię los doktorstwem w Owsijówce darzył,
Żebyś na głuchym stepie, otoczony błotem,
Tyle miał tylko świata, ile przed twym płotem
Widzieć go, jak obfitym pokryty bodjakiem
Zda się mówić do ciebie: szczęściem darzę takiem
Tych, którym w ich młodości ciasno na mym globie,
Co iskrę wyższych dążeń pielęgnują w sobie,
Coby chcieli rozrzucić to zgubne zarzewie,
Po całej mej przestrzeni, bo żaden z nich nie wie,
Że gdzie się raz ta iskra paląca dostanie,
Tam jej ślad tylko w krwawej pojawi się ranie,
A ona sama zginie — zginie bez pamięci!
Szczęście, jeśli tym bólem choć ten się uświęci,
Co ją rozdmuchnął w sobie, bo często się zdarza,
Że Boga bluźni nawet sam sługa ołtarza...
Lecz zadaleko moja Muza mię unosi,
Już się Pegaz mój słaby o wytchnienie prosi,
A więc wracam do rzeczy, znów się prozy chwytam,
I prozą, i na seryo cię doktorze pytam:
Chcesz, bym do liczby twoich przyjaciół należał?
Od domu-m rodzinnego sto aż mil przebieżał,
I w stu milach jednego ciebie napotkałem,
Dla którego z czcią jestem, z poważaniem całem.
Być może, iż dla ciebie nie wielkim zaszczytem,
Że ktoś, co Apollina zwykł walczyć dzirytem,
Dzisiaj się twej zacności ogłasza wazalem;
Jestem niczem na świecie — wyznaję to z żalem,
Lecz i mnie czuć szacunek lub wzgardę się godzi.
Czas szczęśliwszy dla ciebie już pewnie nadchodzi,
W którym na tobie inni równie się poznają,
Będą cenić zasługę, serce ukochają;
Dziś, mnie, przyjdzie nagroda, która ciebie czeka,
Wiedz, żeś chociaż jednego zhołdował człowieka,
I niech ci ta świadomość zapewnieniem będzie,
Że choć źle w świecie, ale nie zawsze, nie wszędzie,
Że choć uznanie ludzkie bardzo opieszałe,
Lecz im późniejsze, większą przynosi nam chwałę;
Że chociaż mało cenić nawykł świat zasługi,
W czem ci jeden zawini, odwdzięczy ci drugi.

---

### Ustawiczna walka.

Każde uczucie wśród świata zabiegów
To jak rozbitek, co dalekich brzegów
Widzi blask biały, wszystkie zbiera siły,
Aby go morskie wały nie pokryły.
Lecz każdą razą, gdy już bliski mety,
Nadbiega fala znów świeża, niestety!
I w zimne znowu chwyta go ramiona,
I rzuca znowu na morskie otchłanie.
Szczęśliwy, kogo bój ten nie pokona,
Komu choć trochę serca pozostanie!

---

## Wrażenia Literackie.

*(Ciąg dalszy).*

Byron tedy przyswoił sobie formę Fausta, czy instynktem, czy z przypomnienia, a chociaż sam twierdził że go natchnął Prometeusz Eszyla, niemniej jest pewnem że w Byrona Manfredzie forma jest zupełnie Goetowska. Ciekawe bardzo światło nietylko na rzecz samą, ale i na te obie osobistości wielkie rzucają dwa ustępy Goetego i Byrona, w których obydwa dają swe zdania o Manfredzie.

Goete tak powiada:

„Tragedya Byrona, Manfred, wydaje mi się być cudownem zjawiskiem i nadzwyczajnie mnie poruszyła. Poeta ten metafizyczny przywłaszczył sobie mego Fausta, i wyciągnął z niego niemało treści dla swej hypokondrycznej miłości.... Wszystko razem jest tak zupełnie odnowione, że byłoby to nadzwyczaj ciekawą dla krytyka rzeczą, rozpoznać wszystkie podobieństwa tego dzieła do oryginału i t. d."

Byron zaś tak pisze w jednym liście swoim:

„Nigdy nie czytałem jego Fausta, bo nieumiem po niemiecku. Mathew Levis przetłómaczył mi wielką jego część w rozmowie, i oczywiście uderzył mnie niepomału; ale to Steinbach, Jungfrau i inne góry natchnęły raczej Manfreda niżeli Faust. Pierwsza scena tymczasem ma podobieństwo niejakie do Fausta."

Jest w tem — ledwie byśmy nie powiedzieli — pewna strona komiczna, że jeden twierdzi koniecznie, jako jest naśladowany, a drugi obawia się, by go nie posądzano o naśladowanie. Są to te drobiazgowości, od których najwięksi jeniusze wolnymi nie są.

Wielka też powieściarka francuska słusznie powiada, że to podobieństwo formy nie jest tak bardzo uderzającem. Forma ta, jest próbą w Fauście, którą widzimy w Manfredzie rozprzestrzenioną i uzupełnioną. Pełne też prawdy i głębokości jest jej zdanie o tej formie, której typami wiele od siebie w wykonaniu różnemi są Faust i Manfred.

„Różność i oryginalność tej formy stanowi zespolenie świata metafizycznego i świata rzeczywistego... Myśl, namiętność, refleksya, rozpacz, skrucha, to całe życie duszy, jest tam widomie prawie przedstawione pod formami alegorycznemi, i pod nazwami uświęconemi, czy to przez religię tak chrześciańską jak pogańską, czy to przez zabobony wieku średniego. To przedstawienie świata wewnętrznego, ta wielka walka sumienia ze so-

bą samem, z wrażeniem jakie nań wywiera świat zewnętrzny dramatyzowany pod postaciami widomemi, sprawia efekt wcale ciekawy i nowy.“

Tak jest w rzeczy samej. Efekt ten jest nowy zawsze, mimo Prometeusza Eszyla, mimo furyów Oresta, i całego świata fantastycznego dawnych pisarzy, mimo widm Banka, Hamleta i Juliusza Cezara, mimo nareszcie Don Juanów Molierowskiego i Mozartowskiego. Wszakże ten widomy wpływ, żalu, skruchy, fatalności na działanie dramatyczne w postaci widm i szatanów, należało zawsze do obszernego poezyi obszaru; a nawet Wolter, typ najzimniejszy i najrealniejszy z dramatycznych pisarzy, wprowadza na scenę cień Ninusa. Lecz u dawniejszych i nowszych autorów wszystkie te pojawienia niemają tego znamienia czysto metafizycznego, jakie im nadał Goethe. Stósują się one do pewnej wiary lub do zabobonów równoczesnych; dla inteligencyi wyższych miały one znaczenie alegoryczne, ale massy, widząc te przedstawienia sceniczne, wierzyły w nie jakby w prawdziwe pojawy. Na przedstawieniach Oresta szarpanego przez furye kobiety roniły. Za czasów Szekspeara cień Hamleta więcej sprawiał przestrachu, niżeli refleksyj filozoficznych, a nawet posąg Komandora w Molierze, mimo całej otaczającej go komiczności dreszczem przejmował ogół widzów.

To pewna, że dawniejsi wprowadzając do działania dramatycznego istoty nadzmysłowe, używali tego raczej jako środka dramatycznego, niżeli jako środka metafizycznego. Mieli w tem zapewne jakąś myśl wyższej moralności, ale nie była to ich myśl główna, jak to się podobało zawyrokować krytykom późniejszym. Mimo sprytnego tłumaczenia jakie Goethe daje Hamletowi, można być pewnym prawie, że Szekspeare pojął swój pyszny dramat daleko naiwniej, niż to sobie Goethe wytłómaczyć zdołał, i że to, co Goethemu w bohatyrze Szekspeara wydało się tak bardzo subtelnym i tajemniczym, miało swoje tłómaczenie bardzo jasne i naiwne w zabobonnej wierze jego czasu. Tym tylko sposobem można zrozumieć tę ogromną popularność, jaką miały już swego czasu najgłębiej pomyślane dramata Szekspeara. Bo inaczej trzebaby chyba myśleć że przy pierwszem przedstawieniu Makbeta lub Hamleta publiczność składała się z samych filozofów i metafizyków. Wszakże mimo całego postępu czasu John Bull byłby bardzo zkandalizowany sprytnemi i poetycznemi wywodami Goethego; a nawet sam Szekspeare, większy artysta, a mniej daleko sceptyczny, niżeli to utrzymują w Niemczech, gdyby powstał z grobu, nie małoby się zadziwił, czytając te wszystkie nicowania jego myśli przez mnogich jego tłumaczy próbowane.

Hamlet rozbierany w Goethego Wilhelm Maister należy do Goethego, a nie do Szekspeara, tak samo jak Mozarta Don Juan w powieści Hofmana analizowany, nie Mozarta ale Hofmana jest dziełem; tak samo nareszcie jak Faust nie z kroniki germańskiej wypłynął, ale z jenialnej piersi samego Goethego.

Dodajmy jeszcze, że Faust urodził się choć nie wyrósł z Hamleta Szekspearowskiego, bo się urodził z Goethowskiego Hamleta, jak go sobie przedstawia w Wilhelm Maister. Jest to wszakże najdzielniejsze świadectwo przemawiające za jenialnością i twórczością Goethego, który, gdy mu się wielkość Hamleta nie dość wielką wydała, umiał się podnieść do miary ducha swego wieku, i takiego w Fauście dał Hamletowi następcę.

„Faust, powiada dalej jenialna autorka, stanowi według mnie granicę epoki *fantastyczności naiwnej*, używanej *w dobrej wierze* za sprężynę, i dla efektu dramatycznego, i epoki głębokiej fantastyczności, użytej filozoficznie w znaczeniu metafizycznem... i mamże powiedzieć religijnem?... I powiem... w religijnem także, bo te wielkie dzieła, o których mówię, należą do filozofii, to jest do religii przyszłości!... tak jest wszystko!... i sceptycyzm Goethego, i rozpacz Byrona, i wzniosły zapał Mickiewicza. Jeżeli się tak długo zatrzymuję nad kwestyą formy, to dla tego aby oddać dwóm największym poetom jacy istnieli tę część oryginalności, która im się należy, mimo że — jak się podobało krytykom powiedzieć — oba przerabiali jedno i to samo dzieło. Mniemam że wypełniam obowiązek religijny względem Mickiewicza, gdy wzywam krytyki, aby się dobrze zastanowiła nad swemi wyrokami, gdy jest mowa o takich ludziach.“

„I tak tych kilku krytyków francuzkich, którzy raczyli rzucić oczy na wspaniałą improwizacyą Mickiewicza wyrzekli na prędce: „To także przerobienie Fausta!“ tak samo, jak Goethe zawyrokował że Faust jest oryginałem Manfreda. A zresztą, niech i tak będzie!... Faust służył Byronowi i Mickiewiczowi w sztuce dramatycznego szkicowania, tak jak Eszyl służył Sofoklesowi i Eurypidesowi, jak w sztuce malarskiej Cimabue służył za wzór Rafaelowi i Corregio-wi; a ich dramata daleko są mniej podobne do Goethego, jak jaka którakolwiek sztuka klasyczna do drugiej, jak Atalia podobna do Cyda, jak Polieucta do Bajazeta i t. d.“

Dramat metafizyczny jest formą. Forma ta istnieje, i od chwili jej poczęcia jest już własnością publiczną. Należy ona do przyszłości, i przyszłość będzie ją dalej rozwijać, jak to już zaczęli Byron i Mickiewicz.

Tyle powiada wielka recenzentka o formie w ogólności, co jak widzieliśmy, służy jej za punkt wyjścia do obrony dwóch wielkich poetów, obwinionych koniecznie przez powierzchownych i płytkich recenzentów o ślepe naśladowanie. Te jej zdania w ogólnych zarysach staraliśmy się oddać jak najwierniej co do myśli głównej, a uczyniliśmy to obszerniej może już dla tego, że się przedmiot odnosi do naszego Mickiewicza, i że cała myśl recenzentki kierownicza rzuca na ten przedmiot cały światło jasne i jenialne.

Przechodzi dalej pani Georges Sand do szczególnego rozbioru trzech tych wielkich poematów, nad którym zastanowimy się treściwiej, o tyle bowiem tylko, o ile koniecznie potrzeba do zrozumienia stanowiska, z jakiego w sądach swoich występuje.

A więc naprzód o Fauście:

„Goethe widzi w człowieku, i nic innego widzieć nie może, jak tylko ofiarę fatalizmu. Czy grzęźnie w niewiadomości, czy się wznosi nauką, człowiek wydaje mu się być igrzyskiem namiętności i ofiarą pychy. Jedną tylko widzi potęgę nieubłaganej rzeczywistości. Goethe zamyka wiek Woltera z blaskiem, który zaciemia samego Woltera.

Warto zaprawdę usłyszeć przy tej sposobności zdanie w tym samym przedmiocie, drugiej kobiety, drugiej wielkiej inteligencyi niewieściej — pani Stael o Fauście, porównywając go z niektóremi pismami Woltera:

„W dziele tem widać wyobraźnię innego rodzaju. Tam widzimy nietylko zniszczonym świat moralny jaki istnieje, ale natomiast postawione jest piekło. Jest tam potęga czarownicza, myśl zasady złego, upojenie się tem złem, pomieszanie myśli, która sprawia dreszcz, i będzie zarazem śmiech i płacz. Zdaje się przez chwilę że rządy ziemi oddane są w ręce szatana. Drżysz, bo on jest niemiłosierny; śmiejesz się, bo poniża wszystkie zadowolone miłości własne; płaczesz, bo natura człowieka uważana z głębi piekielnej, wzbudza litość bolesną.“

Słowa te, niestety, mają w sobie wiele prawdy. Goethe, jakkolwiek uczeń Woltera zostawia go daleko po

za sobą w sztuce zdrobnienia Boga, i zgniecenia człowieka. Bo Goethe ma więcej od Woltera siły nauki i cynizmu, broni potężniejszej od samego rozumu; dodaje do tego i rozum, jako ostatnią strzałę ostrą zwróconą na cierpliwość Boga i na nędzę człowieka.

Goethe uchodzi powszechnie za wielkiego poetę. Zaprzeczyć temu, byłoby świętokradztwem prawie. A przecież wedle naszych wyobrażeń o ideale poety, Goethe byłby raczej wielkim artystą, bo nam trudno jest wyobrazić sobie poetę bez entuzyazmu, bez wiary i bez namiętności. Potęga Goethego, bez tych żywiołów poezyi koniecznych, jest to rodzaj cudu samotnie stojącego, który talenta popycha naprzód, ale nie idey!...

Nikt tak tego nie czuje jak my Polacy, dla których poeta by mógł być poetą przez naród uznanym, powinien być wieszczem, prorokiem, powinien mieć to wielkie namaszczenie ofiarnego krzyża, który dla nas będąc uosobieniem naszej doli narodowej, jest jedynie możliwym wyrazem poetycznego polotu, mającego nam przewodniczyć i oznaczać nam gwiaździste dla myśli i uczuć narodowych szlaki. My nie rozumiemy uśmiechu skeptycznego. Zawsze gotowi do ofiar, zawsze wierzymy; stokroć zawiedzeni jeszcze wierzymy, bo u nas rezygnacya nie jest zwątpieniem, a nadzieja jest zawsze wiarą. I dla tego dla nas metafizyka analityczna w poezyi jest antypatyczną. I dla tego mimo że uznajemy wielką inteligencyę Goethego, nam coś zimnego wieje z jego wszystkich utworów, choćby może i dla tego, że szukając w nim godła krzyżowego, zdybujemy się w końcu z kluczem tylko jego szambelańskim, dworskim jego tytułem, i dworskiem usposobieniem. Hofrat poeta — może to być narodową śmiesznością, z której drwić sobie mogą do woli cywilizatory nasze germańscy — jest dla nas anomalią najzupełniejszą.

*(C. d. n.)*

## Rzecz Artystyczna.

### TEATR.

Przedstawienia tego tygodnia obejmując mniej więcej sztuki dobrze znane, nie podają nam sposobności do obszerniejszych recenzyi; przebiegniemy je zatem, kronikarskim raczej sposobem.

Wspomniemy głównie: *Ręce Czarodziejskie*. Jest to utwor francuski, ale należy do znacznie lepszych, bo jest w nim wyższa i szlachetniejsza dążność, co się nie zawsze francuskim udaje pisarzom. Autor w tej komedyi chciał podnieść *pracę*, która w naszym wieku jedyny nadaje przywilej wyższej wartości. Praca uszlachetnia i uszlachca!... Piękny temat!... i wielka prawda, w którą by u nas wszyscy wierzyć chcieli, czas już, i bardzo czas!... Prócz niektórych usterek i jakichśiś nieporozumień w występywaniu na czas niektórych artystów, sceny główniejsze były odegrane wybornie. Pan *Benda* w roli jąkajły był doskonały; grał tak naturalnie i z takim humorem, że cały teatr śmiał się szczerze, i odwdzięczał artyście rzęsistemi i zasłużonemi oklaskami. Panny *Biedrońska*, *Hofmann* i p. *Królikowski* grali jak zawsze z wielkiem pojęciem ról swoich. Wspomnieć wszakże jeszcze wypada o pannie *German*, którą z przyjemnością widzieliśmy w roli nieco znaczniejszej. Rolę *Margrabiny* oddała z taką prawdą, naturalnością i elegancyą, żeśmy zupełnie zapomnieli, jako mamy przed sobą tak młodą jeszcze artystkę. Wspominaliśmy to już i powtarzamy, że rzeczą jest dyrekcyi stósownem użyciem zdolności panny German, pielęgnować i kształcić jej piękny talent.

Następnym razem odegrano dwie komedyjki ze śpiewkami: *Dwóch aniołów opiekuńczych* i *Wesele na Pociesze*. Co do tej drugiej komedyjki, jest to smutna klejonka, farsa i nic więcej. Utwór ten przedwieczny Majeranowskiego, cenzora i autora zarazem, który przyzwyczajony do obcinania cudzych myśli, pewnie swej własnej myśli nie dozwolił zbyt śmiałego polotu, mógł by już bezpiecznie spocząć w katakumbach repertuarowych, gdyby nie dodana doń śliczna muzyczka naszego *Szlagórskiego*, która ją sztucznem ożywia życiem. Pierwsza zaś francuska komedyjka o tyle warta wspomnienia, że jest wielce moralną, co się także niekoniecznie zdarza Francuzom, a głównie, że była przez naszych artystów dobrze bardzo odegraną. Podniesiemy przy tej sposobności grę p. *Rakowieckiego*. Widywaliśmy go dotąd wyłącznie prawie w rolach ojców; tym razem grał rolę młodą charakterystyczną. Oddał ją z wielkim życiem; w grze jego była naturalność i uczucie; dodajmy, że kuplety odśpiewał sposobem francuskim wodewilowym, najodpowiedniejszym temu rodzajowi śpiewek. Przekonaliśmy się i tym razem że dyrekcya ma pomiędzy młodemi artystami swemi siły i zdolności, które jeno użyć dobrze i spożytkować należy.

Na dochód pani Monikowskiej nareszcie grano: *Cyganie, Korzeniowskiego*. Zaprawdę, autorowi można by zadać wszystkie pytania arystotelesowe: Naco, poco, dla czego? i t. d. Co chciał przeprowadzić tym cygańskim obrazkiem, na żaden sposób pojąć nie możemy. Nie daje nam bowiem ani wyobrażenia dostatecznego o życiu cygańskiem, jeżeli już koniecznie to życie chciał przedstawić; ani też żadnej nie podnosi i nie przeprowadza myśli, która by z tego obrazu miała wypływać; ani nareszcie za pomocą artyzmu, całości obrazu swego nie doprowadza do jakiegokolwiek rezultatu, któryby czy moralnie, czy umysłowo, czy nareszcie uczuciowo wpłynął na słuchaczów. Podobało się autorowi przez pięć aktów opisywać jak cyganie kradną, jak sobie bez żenady żyją w miłosnych stosunkach, dziś z tą, jutro z inną — i uczynił to, ale nic nadto. Bo nawet ta zemsta porzuconej kochanki, która truje kochanka i siebie, w cygańskim obozie traci całą tragiczną wzniosłość, jaką się zbrodnia w danych stosunkach promienić może. Po wysłuchaniu 5ciu aktów mimowolnie chce się powiedzieć: Szkoda że to Korzeniowski napisał!... Jestto najlepsza krytyka i pochwała razem, którą autorowie znakomitsi miećby powinni zawsze na pamięci, aby zasłużonych nazwisk swoich nie obciążali balastem jakichsić nieudałych zachcianek.

Co do gry artystów w ogóle powiemy, że była bardzo staranna. Panny *Hofmann* i *Biedrońska* grały tak dobrze, że im tylko zawdzięczamy, jeżeliśmy zupełnemu nie podlegli ziewaniu. Panna Hofman miała chwile pełne prawdziwej tragiczności; panna Biedrońska w grze swojej tyle rozwinęła naturalnego wdzięku, że prawdopodobnem zupełnie ukazało się uczucie, zresztą niekoniecznie naturalne — rywalki odstępującej od zamierzonej nad nią zemsty — bo — jak się wyraża: uderza ją z czoła spiącej jakiś urok czarowny. Dodamy uwagę, że cygani byli zanadto obdarci, a cyganki zanadto strojne. Z jednej strony trzeba nieco pamiętać o zmyśle estetycznym widzów, a z drugiej mniej pamiętać o podnoszeniu własnych wdzięków za pomocą stroju. Mianowicie za nadto może było wytworności w ubraniu cyganek. Jest to zresztą bardzo małe uchybienie usprawiedliwione powszechnym wszystkich teatrów zwyczajem. Wdzięczni jesteśmy pani *Bendowej* za te kilka

tanecznych zwrotów, które przez grzeczność dodała do sztuki. Publiczności krakowskiej, która dawno żadnych nie widziała tanecznych występów, musiało się to podobać. Powiedzieć nareszcie godzi się, że w tańcu pani Bendowej widzieliśmy wdzięczne zwroty, dowodzące, że zna się na tańcu baletniczym, w którym mogła nawet kiedyś celować.

## O Zakładzie wychowawczym panien ubogich

## ZOFII CZESKIEJ [1]) *).

Zofia z Maciejowskich, h. *Janina*, Czeska, po Janie Czeskim, h. *Jastrzębiec*, pozostała wdowa, natchniona uczuciami cnotliwej i pobożnej chrześcianki, doświadczywszy różnych nieszczęść i przeciwności losu w życiu swojem po stracie najdroższych osób, podała dobroczynną rękę pannom ubogim tutejszego miasta. Zgromadziwszy niewiasty podobne sobie uczuciem i niedolą, oblekła wraz z niemi suknię zakonną, nie uczyniwszy wszakże profesyi zakonnej, i w własnej kamienicy przy ulicy szpitalnej w Krakowie, dziś liczbą 385/569 w gminie V. oznaczonej, w roku 1623 za Zygmunta III. otworzyła publiczny Zakład dla ubogich dziewcząt i sierót, rozciągając czynną opiekę przez wpajanie w nich zasad moralności i zamiłowania do pracy.

Pierwsze urzędowe oświadczenie zapisu zakładowego kamienicy wyżej wspomnionej, i drugiej obok niej stojącej, od Aleksandra z Maciejowic, brata rodzonego Zofii Czeskiej nabytej, później w jedną całość połączonych i graniczących z domem narożnym, niegdyś cechu krawieckiego, nastąpiło d. 13go kwietnia 1622 r. w ratuszu poznańskim, a w dwa tygodnie później w ratuszu krakowskim, do akt radzieckich przez pełnomocnika założycielki Łękawskiego, wniesionem zostało. Z czego dorozumiewać się należy, iż Zofia Czeska była rodzoną z okolic miasta Poznania. Następnie d. 31. maja 1627 r. od Marcina Szyszkowskiego, biskupa krakowskiego, a d. 24go maja 1633 r. za Władysława IVgo od nuncyusza papiezkiego, przy dworze polskim uwierzytelnionego, Zakład nowo utworzony zatwierdzenie uzyskał, po odprawionej poprzednio *Wizycie* czyli zwiedzeniu takowego w r. 1631 przez tegoż nuncyusza apostolskiego, Honorata, wicehrabiego i arcybiskupa laryseńskiego, który przychylnie w tej ważnej sprawie wyraził się, i co było powodem, iż potwierdzenie apostolskie z łatwością wyjednanem zostało. Wreszcie 1644 r. Piotr Gembicki, biskup krakowski wydał stósowną *ordynacyę*.

Głównym celem tej instytucyi, prawie od początku zakonnej, było: młode dziewczęta w bojaźni Bożej, uczciwych obyczajach i zamiłowaniu pracy, wiekowi odpowiedniej, wychowywać. Ścisła baczność przestrzeganą była pod względem nadzoru dziewcząt w Zakładzie pomieszczonych.

Obejmował on pierwotnie trzy klasy. W pierwszej mieściły się dziewczęta pochodzenia szlacheckiego i nieszlacheckiego, jako sieroty ubogie, które z jałmużn powszechnie utrzymywane były. Do drugiej należały dziewczęta po największej części szlacheckiego pochodzenia, których rodzice, przyjaciele lub opiekunowie dla wychowania do tego Zakładu na stały i dłuższy pobyt, czyli jak nazywano *konwikt*, oddawali. W trzeciej klasie mieściły się młodsze dzieci, bo od sześciu lub siedmiu lat, bez różnicy pochodzenia, które na pewien przeciąg czasu każdego dnia przez rodziców w godzinach przedpołudniowych lub popołudniowych, jak to podobnie w dzisiejszych naszych ochronkach się dzieje, dla umoralnienia, tudzież nauki czytania, pisania, szycia, przędzenia i t. p. oddawane bywały, a którym w pewnych czasach pozwalano do rodziców powracać.

Wszystkie trzy klasy były odrębne i każda z nich miała osobną przełożoną czyli matkę. Wreszcie OO. Jezuici przy kościele ś. Barbary, odprawiali nabożeństwa w kaplicy Zakładu, *klasztorkiem* powszechnie zwanego. Po przeniesieniu zaś takowego do gmachu w ulicy św. Jana, XX. Pijarzy dopełniali tych religijnych obowiązków.

W roku 1681 za panowania Jana IIIgo cały Zakład w nadzor i zarząd poruczonym został PP. Wizytkom tutejszym, za biskupstwa Jana Małachowskiego, który był założycielem i głównym dobroczyńcą tego klasztoru, a tem samem więcej sprzyjającym swemu dziełu, jak Zakładowi Zofii Czeskiej, kształcącemu młode pokolenie żeńskie z wielkim pożytkiem dla społeczności.

(*C. d. n.*)

[1]) Artykuł niniejszy wyjmujemy z dzieła z wielkiem staraniem i wzorową dokładnością wydanego przez autora, p. Konstantego Hoszowskiego, senatora b. rzp. krak. i t. d. pod tytułem: *O znakomitych zasługach w kraju rodziny Korycińskich.* (str. 168. 8vo). W Krakowie czcionkami c. k. wszechnicy Jagiellońskiej 1862. Umieszczamy go zaś w naszem piśmie, bo sobie mamy za święty obowiązek zasługi zacnych Polek w narodzie rozsławiać i spowodowani tem, że w naszem piśmie (Nr 31, str. 242 r. 1862) już była wzmianka o Zofii Czeskiej. P. R.

*) Dla odróżnienia kładziemy znaki rodowe Zofii Czeskiej tak z domu jako też i mężą, albowiem Maciejowskich są trzy domy t. j. h. *Ciołek*, którego używali biskupi krakowscy Samuel i Bernard Maciejowscy, h. *Janina* i h. *Jastrzębiec*. Rodziny zaś Czeskich dwa domy, t. j. h. *Jastrzębiec* i h. *Leliwa*. P. A.

### Wiadomości literackie.

Księgarz Wild, najruchliwszy i najlepiej swoje powołanie pojmujący we Lwowie, wydał *Dzieje Polski, Józefa Szujskiego,* jako całego dzieła zeszyt czwarty. Wdzięczni jesteśmy p. Wildowi, że się pożytecznych wydawnictw chwyta. Dzieje Polski Szujskiego zasługują aby były w ręku wszystkich obywatelskich domów.

Ten sam księgarz, p. Wild, ogłosił nowe wydanie *Pieśni Janusza* w trzech tomach. Dzięki mu za to. Przedpłata wynosi na całe dzieło 4 zł. w. a., a w Wielkopolsce 2 tal. 20 sgr. Przyjmuje ją księgarnia p. Wilda wyłącznie. Trwa przedpłata po koniec grudnia 1862, więc należy się z nią spieszyć. W styczniu 1863 dzieło całe wedle zapowiedzenia opuści prasę drukarską.

### Wiadomość przemysłowa.

Pewien francuski kapitan okrętowy odkrył na wybrzeżu afrykańskiem roślinę, z której wyrabiać się dają materye podobne bawełnianym. Kilka sztuk tkanej z owej rośliny materyi przedłożono cesarzowi Napoleonowi. Materya ta ma być gładsza, trwalsza i tańsza od bawełnianych.

O wielkich dzwonach już wiele wiemy lecz żaden z nich nie wyrówna dzwonowi w Miako czyli Kio, w Japonii. Waży on 2,400,000 funtów holenderskich, i jest 17 stóp wysoki. Toć zapewne jest król wszystkich dzwonów, a jak zabrzmi, musiałyby zapewne wszystkie okna zabrzęknąć, gdyby Japończycy mieli okna ze szkła jak my; lecz oni zamiast szkła, mają tylko olejem napuszczony papier w ramach okiennych.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. Antoni Rother.